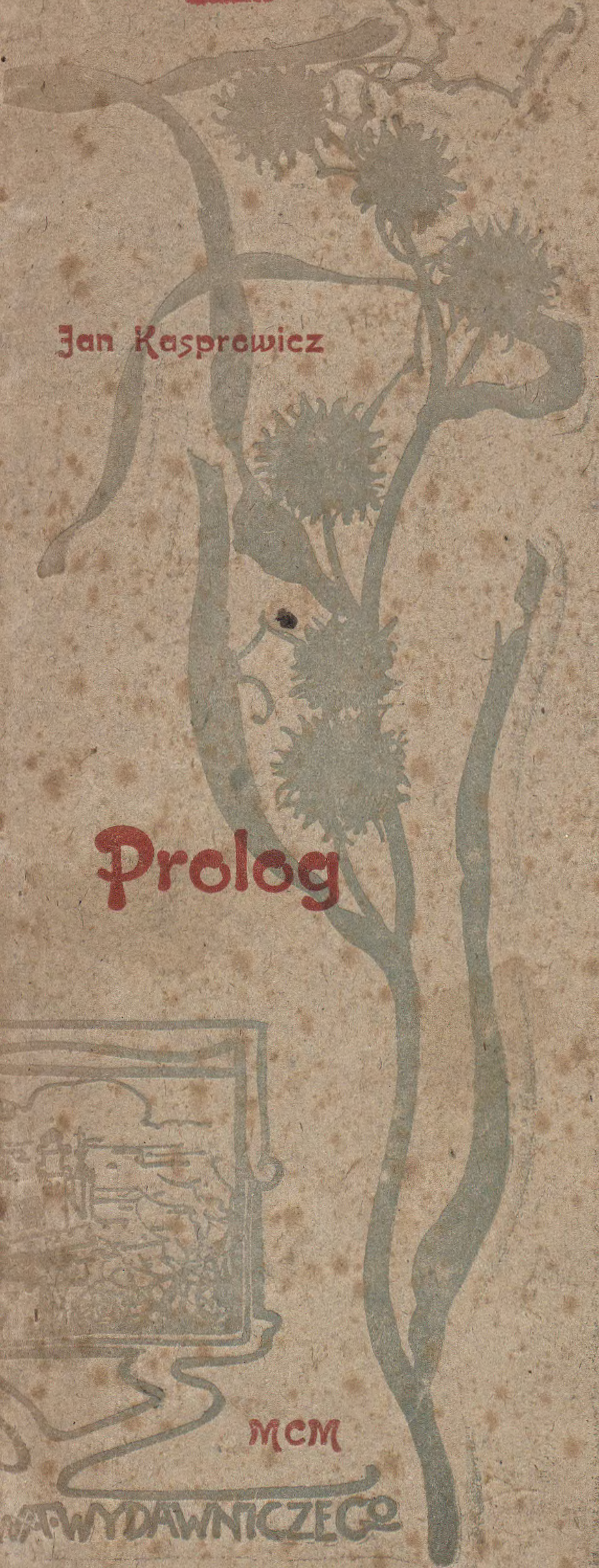
Jan Kasprowicz

Prolog



MCM

WYDAWNICZEGO

Pauel Meek

JAN KASPROWICZ

BAŚŃ NOCY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ

PROLOG

NA OTWARCIE TEATRU MIEJSKIEGO WE LWOWIE

MUZYKA SEWERYNA BERSONA

LWÓW
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO WE LWOWIE
„Drukarnia Udziałowa", Lwów, Lindego 8.
MCM

OSOBY:

AKTOR p. Wysocki
WOJTEK p. Roman i p. Tarasiewicz
DOKTÓR p. Adwentowicz
MEFISTO p. Feldman
WOJEWODA p. Hierowski
SYN WOJEWODY p. Nowacki
STARZEC p. Chmieliński
JEDEN Z ŚPIĄCYCH RYCERZY p. Bielecki
RYCERZ OBCEGO AUTORAMENTU p. Antoniewski
KRÓL p. Kwiatkiewicz
KALINA p. Bednarzewska
MUSZKA p. Mrozowska
PSZCZÓŁKA p. Arkawin
JĘTKA p. Połęcka
MGIEŁKA p. Michnowska
I. BŁĘDNY OGNIK p. Ogińska
II. BŁĘDNY OGNIK p. Miłowska
III. BŁĘDNY OGNIK p. Kozierowska
LILLA p. Nałęcz
RÓŻA p. Stachowicz
PANI ZE DWORU p. Rotter
OBŁĄKANA p. Marczello
WDOWA p. Gostyńska.

Panny leśne. Błędne ogniki. Śpiący rycerze. Oddział chłopski. 12 harfiarzy. Śpiewacy. Służba wojewody etc.

*) Rolę WOJTKA grają naprzemian p. Roman i p. Tarasiewicz. W chwili, gdy PROLOG opuścił prasę, nie postanowiono jeszcze, który z nich weźmie udział w przedstawieniu inauguracyjnem z dnia 4. października 1900 r.

AKTOR (przed kurtyną).

Słów nam potrzeba wielkich i natchnionych,
by godnie uczcić tę dzisiejszą chwilę!
Lecz gdzie ich szukać, gdy mistrze potężni
dawno umilkli pod darnią zieloną,
lub pod wiązaniem kamiennych grobowców,
które na cześć ich wznosi podziw świata?
I oto stoję przed wami, bezradny,
z tą maską w ręku, symbolem mej sztuki,
i, na to świetne patrząc zgromadzenie,
nie wiem, jak witać mam przemożną Panią,
w ogniach tryumfu wkraczającą dzisiaj
do tej wspaniałej świątnicy... Czyż zakląć
bóstw olimpijskich skostniałe szeregi,
by marmurowych zbawiwszy się chłodów,
przyszły tu pokłon oddać Zwycięzczyni?...
Próżny wysiłek i dziś już spóźniony!
Żaden Pigmaljon ciepłem pocałunków
życia w umarłych nie obudzi statuach;
muzy nie zejdą z frontów pałacowych,
a wódz ich, ongi tak jasny i dumny,
zagasł i zmalał wobec nowych kształtów,
które duch ludzki w swym wiecznym pochodzie
nie poprzestaje tworzyć z nieśmiertelnych
promieni Boga... Przebaczcie zuchwalstwu,
że zanim zabrzmią stąd czarowne słowa
liśćmi wawrzynu uwieńczonych piewców,
śmie, lutnię dzierżąc w niedołężnej dłoni,
pozbierać dźwięki z ich harf niezegranych
i łączy dźwięków tych milknące echa
w nikłą i słabą uwerturę... Jedno
chciejcie atoli wierzyć: miłość pieśni
i cześć bezbrzeżna dla wielkich jej twórców
srebrny wam księżyc zapali nad cichą,
senną polaną dziewiczego lasu,
który łyskliwa wyobraźnia ludu
zapełnia tłumem uroczych rusałek.
Śród nich na własne zobaczycie oczy,
jak się objawia potęga tej pieśni —
która niech będzie u nas w czci i chwale
na wieki wieków! —: jak przemienia serce,
choćby najprostsze i najrubaszniejsze,
w czerwcowych wiewów grające narzędzie,
i jakie wokół wskrzesza bohaterstwo
i jakie blaski i jakie zarysy
nadaje ciemnym, gdzieś w głębiach natury
drzemiącym siłom, budząc je do życia...
Cień Ajschylosa przemknie wam z daleka,
albo też migną w odbiciu swych ogni
Szekspir i Goethe, wraz z błyskawicowym
i roztęczonym Słowackim, i inni,
co zanurzywszy się w bezbrzeżną topiel

duszy człowieka, umieli w niej złowić
wiekuistości niezmienne pierwiastki
i zdumionemu pokazać je światu...
Pobłażliwymi bądźcie, gdy spełnienie
nie idzie razem z chęcią i zamiarem,
jeśli nie godnem jest tego przybytku
i tego koła wybranych słuchaczy.
A nam, chodzącym w masce cudzych uczuć
i cudzych myśli, nam, co na tych deskach
pozostawiamy całą swą istotę,
okażcie względy i dzisiaj i nadal.
Podnieśmy zasłonę —
niechaj się pocznie hołd, składany sztuce.

(Kurtyna się podnosi.)

Polana w dzikim, górskim lesie, turnie pomiędzy świerkami. W dali wysoki, śnieżny szczyt. Noc księżycowa, później poranek.

Panny leśne: Lilla, Mgiełka, Kalina, Pszczółka, Jętka, Muszka, błędne ogniki.

MGIEŁKA.

Daleko jeszcze do rana?

PSZCZÓŁKA.

Zanim jutrzenka spłonie
na tego szczytu koronie,
nim jeszcze zorza rumiana
płomienny czar swój roztoczy
na tej śnieżystej uboczy,
niejedna chwila przeminie.

KALINA.

Więc mamy czasu dość,
ażeby znaleść ten cudowny kwiat.
Gdzie on też może rość?...

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

W dzikiego lasu głębinie,
pomiędzy mchy i wykroty
chowa się skarb ten złoty,
kwitnący co siedem lat —
a dziś jest siódmy rok.

MGIEŁKA.

Lillo! znalazłam poziomkę!
Świeżemi usteczkami
wyciśnij czerwony z niej sok...
Nie chcesz?... Poziomka nie plami.

KALINA.

Ta nasza biała i cicha
woli pić rosę z kielicha
białej i cichej liliji.

PSZCZÓŁKA.

Aj! nadepnęłam na węża,
na główkę zielonej żmiji.

JĘTKA.
A ja na słomkę.

MUSZKA.
Skądże ta słomka być może
w takim dziewiczym borze?

KALINA.
Niech się twój rozum darmo nie wytęża!
Zaraz ci powiem, skąd ta słomka w lesie:
Wczoraj o zmroku,
kiedy już księżyc zajrzał do potoku,
wybiegłam z domu,
z stalaktytowej mej chaty — —

JĘTKA.
Pewnie przejeżdżać miał ten pan bogaty —
wiemy, polujesz na męża,
a on, uparty,
ma jakąś inną na oku. — —

KALINA.
A bierz was biesie nie-biesie
za takie żarty!
Nie powiem słówka nikomu.

MGIEŁKA.
Powiedz, niech zgorszy się Lilla,
ta nasza biała i cicha,
co pije rosę z kielicha
białej i cichej liliji.

JĘTKA.
Maleńka chwila —
coś zabolała mnie nóżka...
Może od żmiji?
Oprę ją sobie o listek kwiatuszka
i pod to światło miesięczne
zobaczę, jaka przyczyna.

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.
Nóżki masz wdzięczne,
nawet się kwiat nie ugina
pod ich pajęczym ciężarem.

PSZCZÓŁKA.
Barwę ich można zrównać z nenufarem.

KALINA.
Gdyby on stanął przed takimi cudy,
zaraz by mlasnął językiem,
ażby pociekła mu ślina!
zaraz wytrzeszczyłby ślepie
w tym swoim wielkim czerepie;
zaraz by mu się ten chudy,
ten cienki karczek wydłużył.

JEDNA Z PANIEN LEŚNYCH.
On?

INNA.
On?
INNA.
Co zacz on?
KALINA.
Ano mówięć przecie:
ten, co tę słomkę zostawił.
MUSZKA.
Coś się on z tobą zabawił,
coś ci się dzielnie zasłużył,
kiedy tak wszystko pamiętasz dokładnie.
A może nawet, a może
w tym gęstym, w tym ciemnym borze — —
Kto wie, co z tego wypadnie?
Dzieją się rzeczy na świecie. — —
JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.
Pleciecie,
aż nasza Lilla, ta biała i cicha,
co pije rosę z liliji kielicha,
białej i cichej, rumieni się cała.
INNY.
Lillo, obłoczku złotawy,
promienny blaskiem miesiąca,
rosą opadasz na trawy,
a rosę wietrzyk otrąca.
Dlaczegoś taka milcząca?
Nudzą cię nasze zabawy?
Promienny blaskiem miesiąca,
ty nasz obłoczku złotawy!
PSZCZÓŁKA (z niewinnemi drwinkami, znacząco).
W oczekiwaniu jest wielkiego dzieła.
KALINA.
Lilija rośnie ponad jej wezgłowiem,
na przekór liliji wszystko wam opowiem,
skąd się ta słomka wzięła w takim lesie.
A więc tak było: z wieczora,
kiedy już zorze zagasły,
a nasz srebrzysty królewicz
jął się przeglądać w tej wodzie,
co z pod mojego wypływa pałacu;
kiedy zaledwie dosłyszalny wiew
zabiera jedwab z mleczów
i w księżycowe wplata go przędziwa,
pobiegłam sobie do boru.
Pragnęłam, wiecie, zobaczyć robaczka,
tego, co kiedyś usiadł mi na dłoni,
taki świecący jak gwiazdka.
Snuję się mgiełką
z rosy na rosę,
czasem się iglic świerkowych uczepię,
czasem przykucnę na listku łopianu,
lub się przytulę do płatka dziewanny,

goniąc kochanka —
gdy w tem od strony jeziora
usłyszę granie ligawki.
Kto to być może
w tak późnej chwili,
gdy noc już zaszła głęboka?
Aha! zapewne-ć — pomyślę sobie —
ktoś szuka kwiatu paproci!
Bom zapomniała w tej mojej gonitwie
za świętojańskim owadem,
że dziś dopiero
to szczęsne zakwita zielę...
Granie się zbliża — ja słucham —
i, wiecie,
taka mnie wzięła rozpusta,
że, niby echo,
pocznę przedrzeźniać fujarkę,
ot tak — słuchajcie — jak teraz...

(Echo fujarki).

MGIEŁKA.

Ej! nam się widzi inaczej!
Uciekł robaczek ci złoty,
tak chciałaś z wielkiej pustoty,
albo też z wielkiej rozpaczy
przywabić dźwięk fujareczki —
a może tego, co wygrywał na niej..

KALINA.

O droga pani!
Nie z takiej beczki!
Szydzisz nie w porę!
Chyba twe serce jest chore,
bo moje to samo zdrowie.

PSZCZÓŁKA.

Nie przeszkadzajcie! niech powie,
co było dalej... Co dalej?...

MUSZKA.

Jaka ciekawa! prawdziwie
niby to źdźbełko na niwie,
co się ku słonku dobywa z pod ziemi.
To ci się wcale nie chwali.
Patrz! nasza Lilla, ta biała i cicha,
co pije rosę z liliji kielicha,
niby zaklęta, nie słucha.
Rosę fałdami strąca srebrzystemi
i na korony srebrnych mleczów dmucha
i szuka lilij, co tu nie wyrosły.

KALINA.

Lilija rośnie ponad jej wezgłowiem —
na przekór liliji wszystko wam opowiem.
Otóż zbliżyło się granie,
że ino ręką pochwycić
każdziutki dźwięk.
A za dźwiękami — tfu! zgroza! —

jakieś straszliwe zjawisko!
W lot się ukryłam pod mech aksamitny
i patrzę:
utyka pośród korzeni,
pośród tojadów i ostów
z wierzbową piszczałką w ręku —
nie wiem — parobek czy pastuch.
Przystanął, wytrzeszczył oczy
i wargi otworzył,
jak gdyby myślał, skąd się echo rodzi.
I począł drapać się w głowę
i z rozczochranych jął wybierać włosów
kawałki słomy.
A brudną koszulę
miał przepasaną powrósłem
i po kolana był zbryzgany błotem.

LILLA.
A więc ta słomka w tym lesie
to ślad człowieka?

KALINA.
Przeraźliwego!

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.
Mnie tam nie przerazi!

MUSZKA.
I jabym także nie uczuła trwogi.
Żeby się tylko jeszcze raz ukazał!..

JĘTKA.
Jabym mu w oczy spojrzała —
i w śmiech tak głośny — hej! ażby się przeląkł.

PSZCZÓŁKA.
Jabym go, wiecie, szarpnęła
za to powrósło.

BŁĘDNY OGNIK.
A jabym — jabym
miała ochotę wyciągnąć mu słomkę
z tej rozczochranej głowy!

KALINA.
I ja też może
wyszłabym z swego ukrycia,
gdyby nie jedna bardzo dziwna sprawa...
Wiecie:
gdy tak się tłukł po wykrotach
i po oślizłych kamieniach,
zaklął na naszą królowę,
że mu nie daje spokoju...
Pewno się kocha w nim!
Dzieją się rzeczy na świecie — — —
O wilku mowa, a wilk oto w lesie!
Słyszycie fujarki głos?
To on!...
Zaraz mu echem odpowiem.
(Naśladuje fujarkę.)

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.
A daj-że raz spokój!

KALINA.
O!.. Któż to mówił, że nic się nie lęka?

(Wchodzi)

WOJTEK.
A to mnie wodzi to echo.

(Panny leśne uciekają.)

Dziewuchy!
To ja, to Wojtek z Przysiółka,
hań, od jeziora, na prawo...

(Do siebie.)

Widziałem jakieś ogniki...
Oddawnam słyszał, jako starzy ludzie
opowiadają, że tu gdzieś w tem miejscu
leżą zaklęte pieniądze.
W noc świętojańską najlepiej ich szukać.
Trzeba — tak mówią — spalić wiecheć z buta
i po za siebie rzucić popiół z niego
na cztery wiatry, potem się położyć
gębą do ziemi i czekać:
pieniądze same się wtedy ukażą.

(Do panien leśnych.)

Nie uciekajta, dziewuchy! Dyć razem
możemy tu się położyć i szukać
onego skarbu...

(Do siebie.)

Czemu te dziewki uciekły!..?

(Zrywa pęk trawy i obciera sobie nogi z błota.)

Psiakrew!.. Zalazłem w błoto, między trzcinę,
i tak się człowiek obabrał...
Zawsze tak bywa, kiej się ktoś zadaje
niby z figurą nie ze swego stanu...

Na scenie błędne ogniki. Pokazuje się kilka panien leśnych w kostjumach sielankowych pasterek. Boją się.)

Haha! Panienki! Panienki! Panienki!
Dyć się nie bójta! To ja, Wojtek Grabek,
wiecie, z Przysiółka, od stawu...

KALINA.
Ty, Mgiełko, naprzód!

MGIEŁKA.
Idź ty, mała Jętko!

JĘTKA.
Nie, nie, Kalinka, ona jest najśmielsza...

KALINA.
Albo najlepiej — niechże doń przemówi
nasza tęczowa, lśnistooka Muszka.

MUSZKA.
Boję się ludzi!.. Pszczółeczka niech frunie,
ona się przed nim obroni, żądełko
dobre ma w pyszczku.

PSZCZÓŁKA.

Nie! nasza Lilla, ta biała i cicha,
co pije rosę z liliji kielicha,
niech zakosztuje sitowia...

WOJTEK.

A czemu się tak certujecie?
Jać wam nic złego nie zrobię.

KALINA (z liściem paproci).

Ja pójdę pierwsza... Wojtuś! Wojtuś drogi!

WOJTEK.

Dyć ja myślałem, że to wej! dziewuchy
przyszły gałęzie kraść z pańskiego lasu,
a to wej! same panienki ze dworu!..
Powiedzta mi też, skąd ta maskarada?
Czy dziś we dworze jaka jest zabawa?
W przebieranego? Boć to wielkie pany
lubią balować na różne sposoby.
Widać się panny mocno natańczyły,
kiej aż do lasu przyszły na ochłodę.

KALINA.

Przyszłyśmy szukać tu kwiatu paproci,
który zakwita tej nocy...
I już go mamy, ten złoty,
ten rajski, cudowny kwiat;
już ciebie mamy, Wojtusiu!

WOJTEK.

Niby ja jestem kwiat paproci? Kpiny!
Przecie ja jestem człowiek, niby Wojtek,
który co noc tu wyjeżdża na paszę
z gospodarskimi końmi — tam za lasem —
niby na łąkę, wiecie, przy jeziorze.
A żem jest Wojtek, sam najlepiej czuję —
a wiecie, po czem? Ano, kiedy bąki
zaczną gryść konia, tak ja klaps! od razu
pod brzuch szkapinę i zabijam bąka.
A koń nieboże, aby się obronić
od tych natrętów, macha ogoniskiem —
i tak się zdarza, że mnie prosto w ślepie.
Wtedy najlepiej czuję, żem jest Wojtek,
a nie tam jakiś kwiat paproci!..

KALINA (z afektacją).

Cóż to za sielska prostota!.. Wojtusiu!
My cię kochamy!

WOJTEK.

Co? aż tyle naraz?
Jeszcze tam jedna — tobym i poradził — —
Zresztą figury ze dworu... Nie, wiecie,
mam tego dosyć... Niech panienki patrzą,
jakem się zbabrał.

KALINA (j. w.).

Najdroższy! najsłodszy!
Twoje gołębie serce, twoja dusza,

skąpana w rosie, twe oczy, błyszczące
światłem księżyca...

WOJTEK.

Jać rosy nie lubię,
zawsze to suche siano jest najlepsze!
A księżyc?.. Niech go! Tumani człowieka
i gdzieś po haściach wodzi... Ale zresztą,
gdy tak koniecznie — to chodźcie i w rosę,
nabieram niby ochoty...

(Puszcza się za niemi w pogoń. Panny leśne uciekają na skały).

A! kozy!
Smigły na skały w jednem okamgnieniu!
Jać się za wami drapać tam nie myślę...

KALINA (z poza turni).

Wojtusiu! Kocham! Kocham cię nad życie!
I ty mnie kochaj!..

WOJTEK.

Juścić chciałbym kochać,
ale po skałach włóczyć się za wami
to nie na moje, wiecie, bose nogi...
Niechże panienka zlezie z tej opoki,
to zobaczymy.

KALINA (z afektacją).

Miłość-li z wyżyny
przemawiać może...

WOJTEK.

Ja wolę obórkę:
ciepło jest, wiecie, przy koniach i krowach...

KALINA (j. w.).

Nie mów mi luby, o koniach i krowach!
O tym promieniu mów mi księżycowym,
co po tych świerkach srebrne snuje przędze;
mów mi o rosie, co błyszczy na trawach
i błędne gwiazdy zamyka w swych kroplach;
mów mi o słodkich poszumach tej brzozy,
tej białej brzozy, czeszącej swe liście
na skraju lasu, nad głębią tej wiecznej,
tej przezroczystej, tej milczącej wody!
Mów mi o jutrzni porannej, o zorzy,
która swe ognie rozlewa czerwone
po śnieżnych szczytach, po łąkach, po zbożach,
rozkwitających lekkim, miękkim puchem
w te, pełne słodkich, miłosnych tajemnic,
czerwcowe noce!.. Mów mi o tęsknicy,
która uskrzydla duszę i na wiewnych
unosi chmurkach, na przędzach pajęczych,
na woni kwiatów i na drzew oddechu
w stronę, gdzie czeka ten luby, ten słodki,
ten roztęskniony kochanek!.. Najdroższy!
Twa Julja ginie z miłości...

WOJTEK.

To pannie
na imię Julja?.. Nie wiedziałem tego...
Ładnie panienka przemawia! Ja, wiecie,
takbym się nigdy gadać nie nauczył.
Prosty-m parobek, wychowany w stajni:
sama panienka widzi, żem nie dla niej.

KALINA (jkw.)

Zamek, czy stajnia — to przesąd! to przesąd!
Niechaj miłości przesąd nie rozdziela.
Nasze od wieków powaśnione rody
skojarzy w wielką, cudotwórczą przyjaźń
węzeł miłości. Chodź do mnie, mój luby!
Oto znalazłam złoty kwiat paproci:
za jednem jego dotknięciem opadnie
dawna skorupa z twej duszy prostaczej.
Miłość, ta jedna, ta jedyna miłość,
wraz cię nauczy przemawiać poszumem,
szmerem, szelestem i wonią i ogniem,
jutrznią i zorzą... Miłość na ramiona
magnacki płaszcz ci zarzuci... Chodź do mnie,
drogi kochanku! O, chodź, pocałunek
słodkiej miłości czeka tu na ciebie.

WOJTEK.

Piąć się nie lubię, ale pocałunek
juścić wart tego, żeby się człek drapał
nawet po skałach... Jedno wam też powiem,
złota panienko, że te wasze słowa
to jak muzyka, a zaś do muzyki
tom jak wybrany. Kiej zagrają w karczmie!...

KALINA.

Nie mów o karczmie... Chodź, chodź, mój jedyny...

(Wojtek gubi się w turniach, ażeby w tejże samej chwili, przebrany przez panny leśne, zjawić się pomiędzy skałami obok Kaliny w płaszczu i kołpaku á la Romeo w scenie balkonowej.)

Już kwiat paproci dotknął się twych ramion,
i twe ramiona okrył płaszcz miłości,
wspaniały, świetny, drogi płaszcz królewski.
Kosztowny kołpak lśni na twych kędziorach,
a w piersi twojej, której kwiat się dotknął,
gorzeje ogień nad ogniami... Kochasz?!..

WOJTEK.

Kocham!..

KALINA.

Całunek złóż na moich uściech
i przemów do mnie przenajświętszem słowem
tej niezgłębionej, tej czystej miłości,
co rodzi cuda!

WOJTEK (pocałowawszy.)

Kocham! Kocham! Kocham!
Jakżeż rozkosznym jest twój pocałunek
i jak on zmienił całą mą naturę!

Nie wiem, czy sen to, czy jawa: Przed chwilą
przed małą chwilą jeszcze mi się zdało,
żem jakiś prostak, żem jeden z tych ludzi,
których przyroda rzuca z swej kolebki
obdartych, nędznych i nierozwiniętych
na pośmiewisko i szyderstwo świata.
A teraz miłość tak mnie przekształciła,
że niech królowie do nóg mi padają,
niech cały glob się kurczy przed wielkością
mego uczucia i tej chwały mojej,
co spływa na mnie z twej jasnej, promiennej,
blaskiem wiecznego księżyca oblanej,
wdzięcznej postaci — — —

KALINA.

Kochasz?

WOJTEK.

Kocham! Kocham!
Warg twoich poszept jest jak poszept limby,
tej harfy bożej, rzuconej na skały,
gdy o jej struny wiew poranny trąca.
Albo jak ciche szmery tych potoków,
co z pod urwiska płyną w złotem słońcu
skwarnego lata. Albo jak dalekie,
organne echo pieśni, wyśpiewanej
między turniami, nad zaklętym stawem
o tych niebieskich i czerwonych brzegach,
który w swej głębi zamknął błękit niebios,
ukoronowan wieńcem lśnistych szczytów,
poprzerzynanych białymi śniegami!

KALINA.

O mój jedyny! przemawiasz jak miłość!
Pocałuj-że mnie! pocałuj! pocałuj!

WOJTEK (całując).

A pocałunek twój to jak melodja
tych tęcz przedziwnych, co grają z wieczora
na fjoletach mgieł nad dolinami.
To jakby szumiał cały las dziewiczy,
ukryty w skalnych, szerokich rozłożach.
To jakby zorze grały hen! na wirchach,
hen! na jeziorach i hen! na dalekich,
na nieprzebytych, na bajecznych morzach.
Szedłbym za nimi, za tymi dźwiękami —
za pocałunków twoich rajską pieśnią —
przez wszystkie żleby, przez wszystkie przepaście,
przez wszystkie turnie, przez wszystkie urwiska,
przez wszystkie ciemne, kamieniste groty,
przez wszystkie długie, rozległe przestrzenie...

KALINA.

Pocałuj-że mnie, raz jeszcze pocałuj! —
Dopókiś przy mnie, póki kwiat paproci
w tym moim ręku będzie cię dotykał,
dopóty — — —

JEDNA Z PANIEN LEŚNYCH (które przez cały czas powyższej sceny — w ubraniu już pierwotnem, to z ciekawością i zdumieniem zaglądały z poza turni, lub razem z błędnymi ognikami dyskretnie przebiegały scenę).

Nasza królowa! — — —

KALINA (znikając pomiędzy turniami — głośnym śmiechem).

Hi hi hi!

JEDNA Z PANIEN LEŚNYCH.

A to ci dudek! (Znikają).

WOJTEK (wydobywając się z pomiędzy skał).

Do pioruna! Poco
ja tutaj wlazłem!.. Ot, zachciało mi się
świętojańskiego robaczka — — —

(rozglądając się na około)

Wojtaszku!
głupi Wojtaszku! Szukałeś paproci,
co to ma niby kwitnąć dzisiaj w nocy...
Łeb sobie-m rozbił, czy też co? Przytomność,
widać, straciłem: coś mi się zdawało,
żem miał na sobie jakiś płaszcz królewski,
a zaś na głowie — — —

(maca się po głowie i wyciąga kawałki słomy).

ot, słomsko i listki
trzciny.

(Zjawia się)

PANI ZE DWORU.

Mój luby!

WOJTEK.

Tfu! jaśnie wielmożna
pani tu poco?

PANI ZE DWORU.

Uciekłeś z mych objęć!..

WOJTEK.

Mam już dość tego!.. Od dzisiejszej nocy
już ja mam rozum trochę lepszy.

PANI ZE DWORU.

Zdradzasz!
Z kim to mówiłeś tam w górze? Na skale?
Cóż to tam była za dziewka?..

WOJTEK.

Na skale?
Dziewka?... (Do siebie) Poczekaj tylko, jaśnie pani...
To była... była... moja narzeczona...
Julka, Józwowa córka, proszę pięknie,
tak!.. gospodarska...

PANI ZE DWORU.

Przenosisz dziewkę nademnie! Niewierny!

KALINA (zjawiwszy się z kilku pannami leśnemi).

Nasza królowa, nasza piękna pani
czy potrzebuje dzisiaj naszej służby?

PANI ZE DWORU.
Idźcie na chmurki, uzbierajcie złota
księżycowego!
Idźcie na łąki, uzbierajcie woni
rozchodnikowej!
Idźcie ku potokom
i garść tych słodkich przynieście mi szmerów!..
Albo — trucizny wyciśnijcie z łodyg,
które się plenią na bagnach,
albo też młyński przytoczcie mi kamień!

KALINA (z odcieniem ironji).
Trucizny?!
Albo też młyński kamień?!. Pani nasza!..

PANI ZE DWORU.
Idźcie! (Znikają).
(Do Wojtka) Zdradliwy!

WOJTEK.
Proszę, jaśnie pani,
dać mi już spokój... Kompromitacya
przez to jest wielka... Przecie jaśnie pani
nie jest panienką, a ino ma męża,
pana dziedzica.

PANI ZE DWORU.
Mąż? ten wodnik stary,
ten siwobrody, niedołężny brzuchacz,
co mnie w pałacu zamknął kryształowym,
co mi na skronie dał djadem z pereł,
kosztowne sznury korali na szyję,
i bursztynowe przygotował łoże,
i tak kupiwszy mą dziewiczą młodość,
sądził w swej starczej, bezdennej głupocie,
że mi już skarby te zastąpią — męża?..
Niech mu ropucha albo piastogłówka
będzie tam żoną...

WOJTEK.
Zawszeć przykazanie — — —

PANI ZE DWORU.
Ja sobie jestem przykazaniem... Drogi!..

WOJTEK.
Niechże się też oni,
proszę, odczepią!.. Nie chcę by mnie dziedzic
przetrzepał kijem.., abo żeby Julka
miała mnie przezto opuścić. —

PANI ZE DWORU.
Nikczemny!
Idę! Lecz słuchaj: zemsta moja sięga
dalej, niż myślisz...

WOJTEK (za odchodzącą).
Zemsty się nie boję...
Na pożegnanie zaś wam tyle życzę:
Zróbcie znak krzyża świętego i Boga

weźcie na pomoc i więcej nie grzeszcie.
Złe was kusiło jak i mnie, tak trzeba
złe to odpędzić...
Te błędne ogniki
tak ci migają, aż mi się tu w oczach
co nieco ścmiło!.. Ej błędny ogniku!
ja się tam ciebie nie boję!.. Dyć drzewiej
to starodawni gadali, że niby
taki płomyczek to jest duch, lecz teraz
wszyscy zmądrzeli i we dworze uczą,
że to jest niby płomyk ze zgnilizny —
choć inni znowu to mówią, że w ziemi
tak się ukryty pali skarb i płomyk
tak się unosi ponad nim...

(Do błędnego ognika).

A idźże!
Lepiej mi pokaż, gdzie są te zaklęte
złote pieniądze, albo jeszcze lepiej
daj mi lekarstwo na miłość... Boć prawda,
że mnie ta Julka mocno wlazła w serce,
ino że ona pogardzi koniuchą,
a ojciec, wielki gospodarz, owczarski,
widać, ma rozum: woli dyć swojaka,
co ma też morgi, niż taką chudzinę,
który wypasać musi cudze szkapska
i nawet niema za co kupić butów.
Djabliż mi, psiakrew, nadali to wszystko!
Duszę bym oddał czartu, żebym znalazł
jakie lekarstwo na taką chorobę,
co źre człowieka, jak ogień... Wcierniosty!..

(Nagle zjawia się Mefisto i Doktór.)

WOJTEK (przerażony nagłem zjawiskiem).

Któż to?

MEFISTO.

Człowieku! Zbłądziliśmy w górach — — —

DOKTÓR.

Wyprowadźcie nas z tego jaru.

WOJTEK (ochłonąwszy).

Poco
takim wej! panom włóczyć się po mrace
i po tych głupich skaliskach?.. Nie lepiej
siedzieć to w mieście, w spokojnej komnacie,
na wyściełanych krzesłach, z fajką w gębie,
przy dobrem winku, a nie łamać nogi
i drzeć te piękne wej! buty po haściach
i po kamieniach?

DOKTÓR.

Widzicie, mój bracie,
noc, noc przepastna jest istotą bytu,
i kamieniami najeżone drogi,
któremi człowiek przechodzi przez życie.

WOJTEK.

Tsi! mądre słowo! Ale ja wam powiem:
dla was za wiele, wiecie, jest dobrego,
tak jak znów dla nas za wiele jest złego.

DOKTÓR.

Filozof z waści!.. Za to ja wam powiem,
że filozofja prowadzi do piekła,
a człek przemądry głupszy jest od głupca.

WOJTEK.

To nie nowina: każdy prosty owczarz
będzie wam umiał, panie, wytłómaczyć,
że są na świecie bardzo mądrzy ludzie,
co wszystkie księgi połknęli odrazu,
a nie umieją odróżnić pszenicy,
kiedy kiełkuje, od żyta... A znowuć
stara też prawda, którą już spisano
za dawnych czasów w świętej ewangielji,
że w niebie mało jest ludzi uczonych,
ino prostacy, a przecie największą
zawszeć mądrością dostać się do nieba.

DOKTÓR (do Mefista).

Z takim to trudna sprawa.

MEFISTO.

No, a w niebie
czy tam jest dobrze?

WOJTEK.

Niechby było krztynę
lepiej, niż tutaj na ziemi, to zawszeć
warto pozostać, widzicie, prostakiem,
by mu otwarto te niebieskie bramy.

(Do Doktora)

Z was to zapewne wielki jest adwokat
albo też inny spekulant?

MEFISTO.

Mój pan jest lekarzem.

WOJTEK (do Mefista)

To wyście u nich na służbie?

MEFISTO.

Na służbie.

WOJTEK.

Może do koni? Ej nie! wyglądacie
coś na lokaja... Macie galoniki
i piękny kubrak... Ano, łatwa służba
i dyć popłatna...

MEFISTO.

Nie bardzo, nie bardzo —

(do Doktora)

za przeproszeniem jaśnie wielmożnego
pana doktora: — Tak się ciągle włóczyć
po stromych turniach i po czarnych żlebach,

we mgłach i chmurach, i tak wiecznie szukać
czego się, wiecie, nie zgubiło...

WOJTEK (przyglądając mu się z lekceważeniem).

Prawda,
na przewodnika wyście nie stworzony...
I ten pan doktór, gdy tak lubi chodzić
po tych zawratach, mógłby sobie znaleść
kogo innego... Wy tam nie zginiecie —
jużby się dla was służba wykręciła.

DOKTÓR (do Mefista).

Posłuchaj rady mądrego człowieka
i daj mi spokój —

WOJTEK (j. w. do Mefista).

Pewnie, że mądrzejszy
chłop od lokaja, przynajmniej nie kradnie.
Umiecie chodzić koło koni?

MEFISTO.

Umiem.

WOJTEK.

Umiecie siodłać klacze i za cugle
zacnie prowadzić, by się nie strachnęły?

MEFISTO

Nie wielka sztuka.

WOJTEK (z lekką obrazą).

Ano, jak dla kogo...
Ale kiej taki majster z jegomości
pana lokaja i chodzić niegodny,
to niech się poda, wiecie, na forysia
tam wej! do pani dziedziczki... do dworu!
Drogi są dobre, nawet bardzo dobre,
jeździć się będzie gładko, jak po maśle.

MEFISTO (znacząco).

Widać, te drogi dobrześ wypróbował.

WOJTEK.

Co wam do tego?.. Nie wścibiajcie nosa,
gdzie was nie proszą, abo, jak to mówią:
patrz każdy swego, a nie zaś kożucha,
wiecie, cudzego.

MEFISTO.

Proszą, czy nie proszą,
lecz co do prawa — może i mam prawo
i to ci zaraz pokażę.

WOJTEK.

E, mości
panie lokaju! Człek się despektuje,
gdy (wskazując na doktora), mając pana przed sobą,
[rozprawia
z jego pachołkiem...

(Do Doktora).

Przepraszam, pan niby,
mówią, lekarzem?... A co też leczycie?

DOKTÓR.

Duszę.

WOJTEK (podejrzliwie i drwiąco).

E? duszę?.. A powiedźcie mi też,
co tak, hań! patrzcie, lezie po tem niebie?

DOKTÓR.

Jakiś obłoczek...

WOJTEK.

Ej-że?! mnie się zdaje,
że to jest szkapa, która wczoraj padła,
wiecie, Kubowa... A powiedźcie mi też,
co to tam świeci nad nami?

DOKTÓR.

Tam! księżyc.

WOJTEK.

Prawda!... A wyście byli na księżycu?

DOKTÓR.

Raz się wybrałem w tę podróż nieszczęsną
i zawisnąłem w powietrzu, pomiędzy
niebem a piekłem.

WOJTEK.

E!? To mnie się lepiej,
wiecie, powiodło — bo ja, wiecie, byłem
na samym wirchu księżyca.

DOKTÓR (nie spostrzegłszy się).

Co? kiedy?

WOJTEK.

Ano, raz we śnie, alem wszystko widział
jakby na jawie.

DOKTÓR.

A cóżeś tam widział?

WOJTEK.

Widziałem dobrze — wasz rozum...

DOKTÓR.

Kpisz ze mnie!

WOJTEK.

Tak jak wy ze mnie... Bo kiejbyście rzekli,
że uzdolicie wykurować nogę
albo i rękę, juścićbym uwierzył —
jako że u nas bywają owczarze,
którzy to samo godnie wam uczynią
bez żadnej wielkiej nauki... A, mówię,
uwierzyłbym też, kiejbyście przedemną
tak się pochwalił, że i ból na wnętrzu
leczyć potrafisz, boć i u nas rosną
przeróżne zioła, a przedsię goryczka,
która uśmierza wszelakie cierpienia.
Ba, ja wam powiem, mój panie doktorze:
gdybyście rzekli, iż wam dosyć łacno
przedłużyć życie jakiemu choremu,

który miał umrzeć dziś, a zaś przez waszą,
widzicie, sztukę — jako że są różne
sztuki na świecie, dane nam przez Boga —
umrze za miesiąc abo i za roczek,
tobym uwierzył, inobym się dziwił:
na co to wszystko? Bo kiej on jest biedak,
to się na ziemi dosyć nabiedował
i śmierć dla niego będzie wybawieniem.
A kiej jest bogacz, to się dosyć długo
nabiesiadował i dosyć nagrzeszył,
że śmierć go tylko może uratować
od jakiej większej choroby, na którą
nie ma lekarstwa. A zresztą, co znaczy
miesiąc i roczek, abo nawet więcej
wobec wieczności, co nas wszystkich czeka?
Mądry z was doktór, ino, że od śmierci
nie uchronicie nikogo. Bo takie
jest przeznaczenie: kiej człowiek ma umrzeć,
to juścić umrze, a kiej, wiecie, umrze,
to szkoda nie jest zbyt wielka: na świecie
są niby ludzi całe milijony,
tak że jak padnie jeden abo drugi,
to niby mały robaczek, którego
teraz niechcący niby przydeptałem.
A co do duszy, to już mnie się widzi,
że to są żarty... Dusza nie umiera,
jako ją Pan Bóg stworzył nieśmiertelną
i choćby nawet chciał, to już nie zmieni
tej swojej woli, boby musiał zmienić
samego siebie i przestać być Bogiem.
A jak kto, wiecie, gazduje, to sam się
tego gazdostwa nie zbędzie.

DOKTÓR.

Prostacza
to filozofja, ale daje spokój,
a ze spokojem szczęście... Świat przebiegłem,
do wszystkich jego zajrzałem tajników,
mądrościm szukał w zapylonych księgach,
badałem głębie świętej teologji
i praw pisanych cały znam alfabet.
Ziółkam rozszczepiał i drobne ich włókna
pod mikroskopy kładłem, aż mi oczy
krwią zachodziły od ślęczeń nad niemi;
znam medycynę i chemję, na biegu
gwiazd się poznałem, a wszędzie, na wszystkich
drogach i ścieżkach mojego żywota
lęk mnie poganiał i przestrach
i rozpaczliwy ból mi szarpał duszę,
tak że na ustach miałem wciąż bluźniercze:
być albo nie być...

WOJTEK.

Wiecie, to jest kara
za wasz największy grzech, iżeście chcieli
kurować dusze. Znacie, tak rzekliście,

wszelakie księgi i wszelką uczoność,
a jedna księga jest wam niewiadoma,
o której mówią, że gdzieś ją chowają
w ukrytych miejscach pod siedmiu kluczami
i siedmioraką pieczęcią. W tej księdze
jest wypisano, że kiej dusza cierpi,
to się tak czyści, jak w ogniu, a przecie
to najgłówniejsza, aby dusza była
czystą... I, wiecie, ja w to mocno wierzę,
boć to jest prawda, że Pan Jezus Chrystus
świat nasz wybawił przez cierpienie...

MEFISTO (wzdryga się).

WOJTEK (do Mef.)

Czemuś,
panie lokaju, tak się wzdrygnął?

MEFISTO (czyni odpowiedni ruch).

DOKTÓR (w zadumie).

Może,
może i prawda!... Prawda! Lecz dla czego
dziś mi dopiero ta prawda się zjawia
w swej prostej szacie, kiedym wszystkie przeszedł
męki i bole, kiedym już na siebie
(do Mef.) ten twój straszliwy podpisał dokument?..

WOJTEK.

Mnie się tam zdaje, żem od was mądrzejszy:
jabym żadnego, wiecie, dokumentu
nie podpisywał... Czy chcecie wyjść z lasu?
Ja wyprowadzę... Tu pełno ogników
błędnych, tak drogę łatwo można zmylić...

DOKTÓR (do Mef.)

Zerwij ten kontrakt! Zostaw mnie w tej ciszy,
w tym świętym lesie, u stóp tego szczytu,
(wskazując na szczyt)
co w tym miesięcznym promienieje blasku
i sieje spokój na duszę i serce!...
Zostaw mnie przy tym prostaku!...

MEFISTO.

Za późno!
Kto raz zaprzysiągł, że pójdzie już za mną,
dla tego niema powrotu... A chcecie,
panie magistrze, mieć tego prostaka
do towarzystwa, zaraz on się znajdzie
pomiędzy nami — podpisze cyrograf,
mimo przechwałek. A zresztą on — moim,
albo, by lepiej powiedzieć, on — naszym!
(Do Wojtka)
Posłuchaj, bratku: chcesz pójść do nas w służbę?
Właśnie mówiłem z mym panem... Mądrzyście
o bardzo mądrzy, tak się nam przydacie.

WOJTEK.

Mądry nie mądry... Ino, wiecie, dzisiaj
noc świętojańska i paproć gdzieś kwitnie,

gdzieś tutaj blisko, tak człowiek troszeczkę
niby i zmądrzał... A macie też konie?

MEFISTO.

Mamy, a takie, że ogniem parskają.

WOJTEK.

Ja tam im, wiecie, poradzę.

MEFISTO.

Więc dobrze —
W te tropy będzie gotowa ugoda...
(Wyciąga z zanadrza zwój pergaminu i pisze)
na pergaminie — a ty ją podpiszesz,
ty, — razem z nami...

WOJTEK.

Wiecie, nie podpiszę!

MEFISTO.

Czemu?

WOJTEK.

Ja zawsze godzę się na słowo...
Czytać nie umiem, tak byście tu mogli,
nie wiem, co spisać — tak po adwokacku,
po spekulancku, i kupić mnie z duszą...
Zresztą mnie żadna służba nie potrzebna...
Pono jest wojna... myślę iść na wojnę.

MEFISTO.

Coś ciebie gryzie... jakiś ból masz — w duszy,
choć takiś mądry...

WOJTEK.

Może tam i gryzie,
ale to, wiecie, Bogu na ofiarę...

MEFISTO (znacząco).

Pewnie się kochasz?

WOJTEK.

Może się i kocham...

MEFISTO. (j. w.)

A pewnie dziewka cię nie chce — i ojciec
pewnie też twardy, widzi, żeś ubogi...

WOJTEK.

Może i nie chce... Umierać nie będę,
a mankolię, co mnie krztynę dusi,
wiecie, utopię na wojnie... Słyszałem,
że jest potrzeba ludzi; nieprzyjaciel,
słyszę, rabuje het! po naszym kraju —
ponoć i król jest w wielkich opresyjach...
Poszli już inni, tak i ja też pójdę —
bo niby czemu nie mam iść?... Toć przecie
jestem w tych latach, że pałasz udźwignę...
I — dosyć mocny-m, chociaż tak wyglądam...

MEFISTO.

Zginiesz.

WOJTEK.

Niech zginę... Alboż to ja jeden
człowiek na świecie?

MEFISTO.

Lepiej przystań do nas,
opływać będziesz we wszystko... Pieniędzy
zarobisz kupę i dziewkę dostaniesz...
Podpisz dokument!

(Szybko podaje mu zwój).

WOJTEK.

Choćby i sto djabłów
przyszło i chciało brać mnie na podpisy,
to, wiecie, swego nie dokażą!

MEFISTO.

Czemu?

WOJTEK.

Ano bo pisać nie umiem. A, wiecie,
jakbym położył według obyczaju
święty znak krzyża na tym cyrografie,
wszyscyby djabli uciekli w te tropy!

DOKTÓR (który z wielkiem zaciekawieniem i niepokojem śledził djalog Mef. z Wojt.)

Widzisz, Mefisto, mądrzejszy odemnie,
a i od — ciebie...

MEFISTO (do doktora).

Sprawa nieskończona.

(Do Wojtka)

Z djabłami trudniej, zwłaszcza, jeśli człowiek
ma grzech śmiertelny na duszy... Ty, bratku,
masz grzech śmiertelny... z dziedziczką,
myśmy widzieli to dzisiaj... przy stawie,
przy tem jeziorze.

WOJTEK.

Chrystus Pan odkupił
krwią wszystkie grzechy, tak i ja też myślę
krwi swej utoczyć i zmazać na wojnie
ten grzech śmiertelny... Za wiarę, tak mówią,
i za ojczyznę, tak mówią! To będzie
moja pokuta...

MEFISTO.

Zanim ją wypełnisz,
jesteś w mych rękach na wieki!

(Chce go porywać).

WOJTEK (szybko żegnając Mef.).

A, w imię
Ojca i Syna i Ducha Świętego!
Idź precz, Szatanie! Bóg jest moją tarczą!...

(Mefisto z Doktorem zapadają się, w tej samej chwili zjawia się WOJEWODA, wlokący dziedziczkę za rękę, syn jego i kilku ze służby.)

WOJEWODA (do dziedziczki, wskazując na Wojtka).
Więc to twój pazik, nędznico! Niech służba
widzi tu cała, jakich ma kochanków
jaśnie wielmożna pani...

SYN (dobywając szpady ruchem markiza z komedji francuskiej).
Ja tą szpadą
pomszczę twą hańbę, ojcze...

WOJEWODA.
Schowaj szpadę!
To cham! parobek! (Do służby) Brać go! wprzód wychłostać,
potem przywiązać do konia...

(Służba zabiera się do Wojtka).

WOJTEK.
Ja czartu-m
wyrwał się z ręki, a cóż wojewoda!
(Wyrywa smreczek)
Święta paproci, co kwitniesz tej nocy!
Dodaj mi siły! a! dodaj mi siły,
(Jak przed potęgą magiczną służba się cofa, przerażona)
a ja krwią swoją okupię mój grzech!... (Znika).

WOJEWODA (również cofając się).
Gonić! pachołki! nędzni, podli tchórze!
(Do Pani ze dworu)
A ty, aspani, nie przestąpisz progu
mojego domu...
(Giną za sceną).

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.
A tośmy ludzi nawodziły!

KALINA (która wraz z innemi nieco trwożliwie zjawia się na polanie).
Ja, wiecie, lubię tumanić.

MUSZKA (przy cichym akompaniamencie orkiestry).
Ja bo sobie dziewczę jestem
jak ten cichy wiew,
gonić wolę za poszumem
rozmarzonych drzew.

Niechcę ludziom patrzeć w oczy,
męczy mnie ich świat,
rada jestem księżycowi,
tak jak on mi rad.

Pszczółka, motyl, szmer źródełka
i ta leśna woń
to ma rozkosz, to me życie,
za tem, serce, goń!
(Przewija się w tańcu).

Dalej w tany, drużki moje,
dalej za mną w ślad:
rade bądźmy księżycowi,
tak jak on nam rad!

PANNY LEŚNE (wiążąc się w koło, chórem.)
Rade bądźmy księżycowi,
tak jak on nam rad!
Czem są dla nas ludzkie oczy
i czem ludzki świat...

JĘTKA.
Porzuć smutek, siostro Lillo,
i chodź z nami w tan,
kwiat paproci tu się złoci,
świeżą rosą zlan.

LILLA.
Rzucam smutek i tęsknicę,
idę z wami w tan,
kwiat paproci gdzieś się złoci — — —

KALINA.
Cicho!

(Koło się nagle rozrywa.)

Widzicie siostrę Różę?
Zbliża się ku nam w purpurze,
ciemnej, jak ogień piekielny.

MUSZKA.
Zakłóci czas nam weselny,
czas nam radosny zakłóci...

JĘTKA.
Może gdzieindziej zwróci
ten swój poważny krok!...
Nie dla niej nasza polana,
nie dla niej nasze zabawy!

LILLA.
Nieprzejednana!

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.
Patrzcie, jak gną się trawy
pod jej stopami!
Patrzcie, jak listki zadrzały
na tej leszczynie!
Jak ten jelonek mały
skrył się pod krzew jałowcowy!

MUSZKA.
Źle będzie z nami!

PSZCZÓŁKA.
Ja się niczego nie boję.

JĘTKA.
Nie trwożne i serce moje.

KALINA (do widzialnej już Róży, schodzącej, od strony szczytu, po turniach).
Co ci też przyszło do głowy?
Czy może zwabił tu ciebie
ten jasny księżyc na niebie,
co jasne światło swe roni
na kwiaty, skąpane w woni?

RÓŻA.

Przychodzę obudzić ziemię!

MUSZKA.

W takiej godzinie,
kiedy te świerki i jodły
w blady się pomrok zasnuły?
Gdy nocy wilgotne brzemię
przygniata zioła?
Hej! do naszego tu koła
cóż to za myśli cię wiodły?
Jakiż to zamiar nieczuły
zagnał cię tutaj na skrzydłach powiewu?

JĘTKA.

Lepiej wraz z nami chodź szukać paproci;
co gdzieś w ukryciu się złoci,
albo się przyłącz do naszego śpiewu
i tańca!

KALINA.

Patrz! twoja siostra, ta biała i cicha,
co pije rosę z lilji kielicha,
swojego smętku nie baczy
ni swej tęsknicy
i śród naszego ochoci się grona!

RÓŻA.

Ona-ć do lutni stworzona
i korowodu!
A mnie od młodu
dawano w rękę pochodnię i miecz!
Lillo!... czy widzisz tę łunę,
rozlewającą się płomienną rzeką
ponad strzelisty ten szczyt?...

LILLA.

To pewnie zorza poranna,
zwiastunka dnia błękitnego!

MUSZKA.

Spieszmy się szukać paproci!

RÓŻA.

To dom się nasz pali!
Przyszedł odwieczny wróg,
rozbił kamienny mur,
ogień podłożył pod wielki nasz gród,
na ludzie naszym krwawą spełnił rzeź,
a ojca nam rzucił w loch,
pomiędzy węże go rzucił,
by mu ze zgrozy
ostatni pobielał włos
i aby tego królewskiego starca,
który nam życie dał,
straszliwy uśmiercił głód.
Idź! ratuj! idź!

LILLA.

Czemże ratować go mam?!
Ja, com od młodu
do słodkiej lutni przywykła
i korowodu?...
. . . . Dźwiękami gady ugłaszczę,
że wić się będą naokół mych rąk
i, zasłuchane w me pieśni,
dadzą wytchnienie memu rodzicowi.
A spiesząc ku wieży,
lilij nazbieram nad cudowną rzeką
i oną rosą pożywną,
świecącą na dnie ich kielicha,
karmić go będę, ja córka,
godna naszego rycerskiego ojca,
chociażem tylko stworzona do lutni
i korowodu.
Pojić go będę i karmić tą świętą,
tą białą rosą tych niewinnych lilij,
aby przetrzymał cios
i dożył chwały zbawienia.

RÓŻA.

A mnie od młodu
dawano w rękę pochodnię i miecz.
Pochodnią ziemię obudzę i mieczem!
Na wszystkich krańcach pozapalam stosy
i płomieniami znaczyć będę drogę
pomsty!...
Pod stopy mojemi
walić się będą z trzaskiem dęby stare
o płoniejących wierzchołkach!
W posadach swoich zatrzęsną się skały
i pośród huku piorunów
i wycia burz
rozżagwionymi sypną kamieniami
na wroga ludu Wenedów!
Od tysiąclecia uśpionych rycerzy
zbudzę z ich ciemnych, granitowych łożnic...
W tę noc świętojańską
zakwitaj moja paproci!
Pokryj się niebo miesięczne
czarną powałą chmur!
Zahuczcie grzmoty!
Bijcie pioruny!
A wy, rycerze odwieczni,
wstańcie! wstańcie! wstańcie!

(Chmury, grzmoty, pioruny, z groty w turni obok wychodzą ŚPIĄCY RYCERZE.)

JEDEN Z ŚPIĄCYCH RYCERZY.

Kto nas obudził? czy nadszedł już czas?

RÓŻA.

Mój miecz was zbudził i moja pochodnia!
Pohańbion Wenedów lud!

(Przez scenę przebiega RYCERZ obcego autoramentu.)

RYCERZ.

Konia! Królestwo za konia!

RÓŻA.

Pędź! giń! za tobą idzie pomsta boża!
z podbojuś wyrósł i z podboju giń!
Uderzcie w surmy! za mną! za mną! za mną!

(Surmy w takt pieśni bojowej.)

(RYCERZE ŚPIĄCY idą za Różą śpiewając. Pieśń wraz z odgłosem surm i grzmotów gaśnie za sceną.)

PSZCZÓŁKA.

Dla czego, siostry moje,
ludzie te krwawe toczą boje?
Czyż nad wojennej surmy głos,
nad ten mosiężny zew,
nie milszy stokroć poszum drzew?
A ponad połysk martwej stali
czyż nie wspanialszy blask tych ros,
ten brylant, który w każdej kropelce się pali?

KALINA.

Bo ludzie nie są z mgły
ani z tej pary tęczowej
ani z miesięcznej tej przędzy,
która osrebrza nam głowy
i słodkie daje nam sny,
tylko powstali z żelaza
i krwi,
ze zbytku i nędzy.
Marnego złota
nienasycony głód
i panowania chęć
duszą ich miota,
tak, że niezdolni naszych światów czuć!
I powrozami zawiści,
co w wnętrzu ich gości,
gna ich oślepły ten szał
nie po zdobycie nieśmiertelnych chwał,
lecz w straszny, zabójczy trud,
z którego strzela złowroga
ich miast i wiosek pożoga —
z którego rośnie zaraza
i płacz i jęk
i przeklinanie tych doczesnych dni
i próżne wołanie litości...

PSZCZÓŁKA.

Niech się mordują! niech palą,
niech sobie z wilczych wydzierają szczęk
zajuszonego mięsa
kłami zdobyty kęs,
tylko dla czego nadeszła ta chwila,
ten smutny czas,
że nasza biała i cicha,
ta nasza promienna Lilla
musiała rzucić nas?!

KALINA.

Poszła wybawiać świat.

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

Rosą ocieka mi rzęsa.

INNY.

I mnie kropelka upadła z pod rzęs...

PSZCZÓŁKA.

Wróć do nas, Lillo, wróć!
Niech świat kto inny zbawia!
Niech się dźwięk lutni twej szerzy
po tej miesięcznej rozścieży!
Niech się na blaskach niesie
po tym odwiecznym lesie,
po załomiskach tych turni!
I coraz górniej i górniej
płynąc nad ziemię, nad życie,
niech spocznie na tym śnieżnym, niebotycznym
[szczycie!

JĘTKA.

Wraca!

MUSZKA.

To ona!

KALINA.

Nie! to ta szalona!
ta obłąkana — — —
ta — — topielica — — —
Ten pusty ognik prowadzi ją ku nam!..

(Błędny ognik za nim OBŁĄKANA.)

PSZCZÓŁKA.

A witaj nam, witaj!
Idziesz-li szukać zakwitłej paproci?

MUSZKA.

Z czego ta bladość lic?
Z czego ten smutek w oczach?

OBŁĄKANA.

Czyż nie widzicie
tych oto płaczek, idących w mój ślad?

(Orszak płaczek.)

Przyszłam na ojca grób,
ażeby płakać i płakać i płakać...

(Do płaczek.)

Idźcie!...
Wasza królewna podąży za wami!
Weźcie tę urnę z mych rąk,
by moim oczom przygasłym,
tym źródłom wyschniętym,
przestała przypominać, że płakać nie mogą!
Czemużeś wielki, gromowładny panie,
do takiej zbrodni dopuścił?
Wrócił w zbroicy chwały
i w domu swoim znalazł cudzołózcę!

A cudzołożna, podsyciwszy krew
żarem występnej miłości,
wyprawia do Hadesu, między wieczne cienie,
mego wielkiego, chwalebnego ojca.
Ziemia i morze płodzą niezliczony
zastęp potworów,
ale nad wszystko, co pełza,
co się wzajemnie pożera,
najpotworniejszym jest człowiek!..
A już gdy zechcą bogowie
pokazać hańbę świata
i nieprawości stek,
urągającej naturze,
niebu i ziemi,
to wybierają kobietę...
Ona podpala gród,
na pastwę wroga oddaje tysiące,
rabusia i złodzieja wprowadza w dom męża
i pośród zwalisk spokoju i szczęścia
kopie dla niego mogiłę...
Ale za zbrodnią w trop
pospiesza pomsta i nową,
równie potworną płodzi zbrodnię,
która się znowu mści na pokoleniach...
O jakże straszną jest losów zawiłość!
O przeznaczenie —
o nieugięta Ajzo,
o pani w niezniszczalnej wykowana miedzi!
Na karkach bogów kładziesz swoje stopy
i berła z rąk im wytrącasz,
a matkobójcę każesz bezlitośnie
ścigać piekielnym swym córom!..
Gdzie jesteś bracie —
gdzieś mój Orestesie?!
Czyż krwawy orszak Erynyj
tak ci przytępił słuch,
że już nie słyszysz huku gwiazd, lecących
płomienistemi drogami
w bezdenną czeluść?!
Gdzie jesteś jego wierny, niedostępny druhu?
Gdzieżeś kochanku mój?! — —
Nie wróci! nie wróci!..

(Śpiewa.)

Na mogile darń zielona,
nad nią brzoza biała
zapłakane, smutne listki
rozwiała, rozwiała...
Ach!..
Przyszedł do mnie o północy,
przyszedł o poranku:
bierz me serce, bierz mą duszę,
kochanku! kochanku!
A on mi na to: »Idź-że do klasztoru!
Albowiem piękność twoja

jest jako trup ten, porzucony w słońcu,
którego toczy robactwo.
Na co ci mnożyć grzeszników —
i tak zadużo występnych na świecie!«
Ach!..
A kto ci mówił, że jestem występną?
A kto ci mówił, że to, co się zemnie
narodzi w bolu godzinie,
będzie kłamliwe, zdradne i nikczemne?..
Czemuś mnie łudził?
Czemuś złotemi słówkami
nad brzeg przepaści prowadził mą duszę?
W zapamiętaniu
czemuś rozdzierał mi suknię?
Czemuś całował białe, grzeszne łono?
Precz! precz! precz!

(Śpiewa.)

Poszedł luby, poszedł sobie
heń na krańce świata — — —
A ja do wody na wieki! na wieki — — —
Ach!

(Zaduma.)

STARZEC (za sceną).

Bijcie, pioruny! pal się, błyskawico!

(Wchodzi WDOWA, prowadząca ślepego STARCA.)

STARZEC.

Bijcie, pioruny! pal się, błyskawico!

WDOWA.

Jesteś, ma córko? Szukam cię po nocy,
aż moje siły zdarły się na strzępy,
tak jak ta suknia, w którą mnie ubrano!
Pod moją krzywdą ziemia się ugina,
a przed cierpieniem mojem gwiazdy bledną
i księżyc traci swe złociste światło — — —

STARZEC.

Bijcie, pioruny! pal się błyskawico!

OBŁĄKANA (głęboko wzdycha).

Ach!

WDOWA.

Podłym służalcom wymierz sprawiedliwość!
Oto wygnano mnie z naszego zamku —
nawet mi kromki chleba poskąpili,
a włos mój siwy, ten włos twojej matki — —

OBŁĄKANA (nagle z głębokiej budząc się zadumy).

Milcz, ty żebraczko!
Kolebka moja stała wyzłocona
śród wspaniałego, królewskiego zbytku,
a nie w twej brudnej i ciemnej chałupie!..
Wyszczuć ją psami! — — —

STARZEC.

Bijcie, pioruny! pal się, błyskawico!
A wy, niebiosa, pochłońcie swą klątwą
wynaturzenie natury człowieczej!

WDOWA.

Córko!

OBŁĄKANA.

Wyszczuć ją psami! psami! psami!

STARZEC (do Wdowy.)

Dobra kobieto, nie hańb się żałością! — — —

OBŁĄKANA.

Wygnać i tego doradcę —
tego ślepego wygnać podszczuwacza,
niech darmo chleba nie zjada!
Dość się nanosił królewskiej purpury,
ręka mu zwisła od dzierżenia berła
i zwiędłe palce tak mu się skurczyły,
że nie obejmą już złotego jabłka,
by już nie mówić o mieczu,
którym potrzeba strzedz granicy państwa.

WDOWA.

Córko!
Niech twoje serce nie będzie z kamienia —
niechże nie będzie ulane z podłości — —!
Piorunem karze Bóg wyrodne dzieci!

STARZEC (do Wdowy).

Dobra kobieto,
coś mi podała rękę w mojej nędzy,
kiedym napróżno macał tym kosturem,
by znaleźć ścieżkę
z tego dzikiego pustkowia, z zamętu
tej rozszalałej, tej okropnej burzy:
Nie widzę kształtów tej dziewki, bo gromy
i błyskawice wyżarły mi oczy,
a niechcę ręką, czystą, nieskalaną
dotykać lic jej, ni skroni, ni włosów,
bo z tych przepięknych, przyrodzonych darów
wyczułbym chwilę, kiedy mi się stało
to moje wielkie, nadludzkie nieszczęście!
Ale nasz Stwórca, snać by mnie pokarać,
żem w grzesznym szale spłodził taką sukę,
dotąd mi jeszcze nie zalepił uszu:
Po jej krających, piekielnych wyrazach
słyszę, że jest to jedna z mych wyrodnych,
nielitościwych córek,
które na hańbę wszemu człowieczeństwu
precz wypędziły królewskiego ojca ———

WDOWA.

Mylisz się, starcze! Z mojego to łona
ten kwiat trujący wyrósł i zakwitnął...
Matką jej była obmywaczka zmarłych,

a ojciec grabarz!
Na cmentarzysku stała jej kolebka...
A jeśli miałeś kiedy takie dziecko,
to wszystkie dzieci wyrodne jednakie...

OBŁĄKANA.

Wyszczuć ją psami!
Król był mi ojcem! Oto sam się przyznał!
Długom czekała na taką metrykę!
A jeślim nawet popełniła zbrodnię,
to nie żałuję, bo dzisiaj z tej zbrodni
łysnęło dla mnie to wielkie wyznanie!

STARZEC.

Czemu, naturo, tak idziesz na opak?
Czemu robactwo płodzisz w ogniu słońca?
Czemu w gliniane garnki wlewasz pychę,
tak że pękają od jej wrzącej cieczy!
Oto jest potwór,
co dla wyrodnej ambicji
czelnie się chełpi zbrodnią, popełnioną
na swym królewskim ojcu. —

WDOWA.

Starcze! starcze!
I ciebie, widać, groźny chwycił obłęd!
Jakimś ty królem! Znałam cię! W sąsiedniej-ś
gazdował wiosce, a jeśliś ciężarem
stał się dla dzieci, jeśli cię twe dzieci
wygnały z domu w to bezludne pole,
przeklinaj własny ród!.. To moja córka!
Patrz, ta niezmyta plama krwi na czole!
Zamordowała moją młodszą córkę,
mój kwiat paproci!

(Do Obłąkanej.)

A gdzież twa siostra?.. Słuchaj, zabójczyni!
Gdzie twoja siostra?

OBŁĄKANA.

Ach!
Gdzie moja siostra?
W tym zielonym gaju,
przy cichym ruczaju,
pod malinowym krzakiem...
Nie! nie! nie mam siostry!
Nigdym ja siostry nie miała!
Krew na mem czole?..
Nie! na mych rękach krew!
Ach! której obmyć nie mogę!..
Gdzież jest to źródło czarowne,
by ręce obmyć
z tej krwi królewskiej!..
Zabiłam króla!..

STARZEC.

Bijcie, pioruny! pal się błyskawico!

TOPIELICA.

Przybył k'nam z orszakiem,
spoczął w komnacie spokojny,
siwy, jak gołąb,
i ja go zabiłam — —
temi rękami — —
i las się poruszył — — —
Zabiłam króla!..

WDOWA.

Skały, słuchajcie! Wysłuchaj, ty lesie,
skargi nieszczęsnej matki!
Oto zbrodniarka, co zabiła siostrę,
a moją córkę — —!

STARZEC.

A ja oskarzam — słuchaj, ty pobladły,
smutny księżycu!
Słuchajcie, wy gwiazdy,
przygasające!
Ja ją oskarzam
o królobójstwo!
Gdzież jest ten sędzia, co godnie ukarze
taką ohydę?!..

OBŁĄKANA.

Ach!..

WDOWA.

Gdzież jest ten sędzia?!

(Dzień. Odgłos surm. Król z orszakiem. Róża w wieńcu róż. Lilla z liljami na głowie, 12 harfiarzy. Doktór. Mefisto. Wojewoda. Jego syn. Pani ze dworu. Rycerze. Wojtek na czele oddziału chłopów etc.)

WDOWA (do króla).

Panie i królu!

KRÓL.

Już mnie dobiegło echo waszej skargi,
na ścianach turnic odbite, niesione
na tej jutrzenki złotolśnistych pyłkach.
W moim orszaku stańcie,
(do Starca)
ty, mój bracie,
(do Wdowy)
i ty, ma siostro,
(do Obłąkanej)
i ty, córek moich
wierna spólniczko, droga towarzyszko.
Wszystko to było snem!..
(do Wojewody)
I twoja krzywda
złudą-li była, mości wojewodo!
(do Doktora)
I ty, mój mistrzu, nadworny lekarzu,

(do Mefista)

i ty, trefnisiu, coś sobie przyprawił
różki Mefista z niewinnej pustoty —
wszystko to było snem i snem i złudą.
Moje wietrznice — hej-że, do orszaku!
noc wasza przeszła! — me błędne ogniki
taką igraszkę uczyniły sobie
w tej pełnej czarów świętojańskiej nocy,
w której zakwita rajski kwiat paproci.
Dla nas on zakwitł, bo jeśli na świecie
pleni się zbrodnia, to dziś ją wygania
ma biała Lilla i płomienna Róża
i ci rycerze, uśpieni przez wieki
w zaczarowanej tej skale, w tej ziemi
smutku i trudu, radości i chwały,
i ten mój prosty, siermiężny bohater,

(wskazuje na Wojtka)

który wylaniem swojej krwi serdecznej
wywalczył sobie rycerskie ostrogi.
Niech się nam święci cudny kwiat paproci,
niech się nam święci biały, jasny dzień!
Oto już w zorzy śnieżny szczyt się złoci,
który tak długo obleczon był w cień.
Harfiarze moi! starce siwowłosi,
z Lillą i Różą, kochankami pieśni,
uderzcie w struny na chwałę zwycięztwa!
A wy śpiewacy, wtorujcie im w cześć
kwiatu paproci i nowego dnia —
w cześć onej wielkiej i wspaniałej pieśni,
co sobie nowy wystawia przybytek,
by dać w nim siłę ludzkim namiętnościom,
a skrzydła złote tym ludzkim marzeniom —
by nam pokazać prawdę tych postaci,
których zaledwie nikłe, blade cienie
zobaczyliśmy przed chwilą...

CHÓR.

Niech się nam święci cudny kwiat paproci,
niech się nam święci wonny, jasny dzień!
Oto już w zorzy śnieżny szczyt się złoci,
który tak długo obleczon był w cień.

Niech się nam święci w nieprzerwane lata
tej naszej pieśni wszechpotężna moc.
Ona blask sieje po rozłogach świata
i ze serc ludzkich ciemną płoszy noc.

Z miesięcznych mgławic lotne widma tworzy,
z piany potoku i z poszumu drzew.
Przez nią przemawia odwieczny duch boży
jak świst wichury lub jak jezior śpiew.

Ona to z duszy wywabia prostaczej
miłosnych szeptów słodki, wonny czar;
głos daje zbrodni, cnocie i rozpaczy,
jest matką czynów i wspaniałych mar.

Rycerzy budzi, uśpionych przez wieki,
śród krwawej łuny prowadzi ich w bój
i dzień zwycięstwa przybliża daleki
i w tryumf zmienia tysiącletni znój.

O boża pieśni! o cudna paproci!
Ty w naszych sercach na wieki się pleń!
W niezgasłych blaskach niech się dzień twój złoci,
nieustającej chwały jasny dzień.

Kościeliska, koniec sierpnia 1900.


LWO
Cena 1 Korona
NAKŁADEM TOWARZY